

Przystawki

3 maja 2015

W Wielkiej Brytanii małe partie nigdy nie odgrywały większej roli. Teraz znalazły się w centrum uwagi. Partyjny duopol na Wyspach został rozbity. I wszystko wskazuje na to, że na dobre.

W kampanijnej pantomimie odgrywanej przez dwóch najważniejszych partyjnych graczy jest wiele absurdów i śmieszności, ale najważniejszym aspektem gry jest to, że zarówno David Cameron, jak i Ed Miliband muszą udawać, że po wyborach stworzą jednopartyjny rząd. „Koalicja” to słowo, które laburzyści i torysi wyrugowali ze swoich słowników. Tymczasem wszystkie wyborcze prognozy wskazują, że Wielką Brytanię czeka drugi z rzędu „parlament zawieszony”, czyli taki, w którym żadna partia nie będzie miała większości wymaganej do sformułowania rządu.

Pytany o ewentualne koalicje Ed Miliband z twarzą pokerzysty mówi, że „nie będzie kreślił hipotetycznych scenariuszy”. David Cameron zaś na każde wspomnienie o „Blukip”, czyli kołacji niebieskich konserwatystów z partią Nigela Farage’a, reaguje alergicznie. Przymykanie oczu na rzeczywistość w kampanijnym chaosie jest zrozumiałe i w jakimś sensie nawet wskazane, ale nie zmienia to faktu, że dzień po wyborach Wielką Brytanię oraz politycznych liderów czeka żmudny proces partyjnych negocjacji, targów i kompromisów. Która z mniejszych partii ma największą szansę na wejście do rządu?

FARAGESTAIN

Największe emocje budzi Nigel Farage i jego formacja – Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP), która w zeszłorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego oraz w wyborach lokalnych rozbiła brytyjski partyjny duopol i zagnieździła się w centrum politycznego teatru. Farage

przemeblował także debatę publiczną. Toksyczne, szkodliwe społecznie idee UKIP zatruwają brytyjską politykę i zmuszają siły głównego nurtu do uwodzenia wyborców demagogicznymi chwytami.

Antyimigracyjna retoryka znalazła się w arsenale każdej partii. UKIP to typowa formacja populistyczna i partia protestu. Proponuje proste czy nawet prostackie rozwiązania skomplikowanych problemów, bazując na emocjach i obsługując społeczne niepokoje. Program, który jest często wewnętrznie sprzeczny, w dużej mierze absurdalny i w praktyce niemożliwy do zrealizowania, nie ma większego znaczenia. Skrajny liberalizm gospodarczy charakteryzujący Farage'a idzie na przekór oczekiwaniom i poglądom jego wyborców, którzy w ogromnej większości chcą państwa bardziej solidarnego i aktywnego socjalnie.

Wyborczą bazę UKIP stanowią ludzie sklasyfikowani w najniższych ekonomicznych klasach – C2, D i E, czyli robotnicy wykwalifikowani i niewykwalifikowani, ci, którzy pracują od czasu do czasu, i ci, którzy pracują rzadko albo wcale. Nie rekiny biznesu, finansiści i bogacze, których wspiera i wychwala Farage. Problem w tym, że żadna z głównych partii nie ma dla coraz większej rzeszy ludzi wykluczonych żadnej politycznej oferty. UKIP zagospodarowuje głosy zdesperowanych, tych, którzy w procesie globalizacji znaleźli się na obrzeżach, zamknięci w ekonomicznych i mentalnych symbolicznych fawelach. Ci wyborcy nie zdają sobie sprawy, że za fasadą antyimigracyjnych i antyunijnych haseł kryje się pustka. Jak większość partii populistycznych, UKIP funkcjonuje tylko i wyłącznie dzięki negatywnym emocjom wyborców, żerując na wściekłości oraz powszechnym rozczarowaniu działaniem politycznych elit. I na nieświadomości.

Sympatycy UKIP nie mają pojęcia, co Farage – oprócz przegonienia imigrantów i pozbycia się europejskich biurokratów – ma do zaoferowania brytyjskiemu społeczeństwu. Ale nie ma to żadnego znaczenia. Groźne jest to, że ani Partia

Pracy, ani torysi nie potrafią się temu przeciwstawić. Ta bezsilność otwiera drogę politycznej szarlatanerii, która zatrzuwa toksynami debatę publiczną w Zjednoczonym Królestwie. W ostatnich sondażach UKIP ma 13 proc. poparcia. Niewiele i – jeśli brać pod uwagę prognozowane parlamentarne zdobycze (szacuje się, że Partia Zjednoczonego Królestwa może liczyć zaledwie na 4 mandaty) – Farage nie powinien się liczyć w ostatecznym wyborczym rachunku. Jednak polityczna impotencja Partii Konserwatywnej i LibDem może spowodować, że te cztery głosy będą nieodzowne do uzyskania większości. A wówczas czeka nas prawdziwa prawicowa rewolucja.

WEGETACJA CLEGG, ROZKWIT ZIELONYCH

Katastrofalny scenariusz koalicji Partii Konserwatywnej i UKIP kreśli głównie wicepremier i lider Liberalnych Demokratów Nick Clegg, który pięć lat temu był politycznym objawieniem i nadzieją na progresywną zmianę, a dziś jest politycznym żywym trupem i walczy o przetrwanie. Przez lata LibDem byli postrzegani jako ładniejsza, nieskażona toksycznymi kompromisami z władzą siostra Partii Pracy. Taka lewicowa dziewczica. Sprzeciwiali się interwencji w Iraku i zaostrzaniu brytyjskiego prawa, gardłowali za ekologiczną ekonomią, wyrównywaniem szans społecznych i edukacyjnych, większą integracją z UE, wprowadzeniem surowych regulacji dla banków, budową państwa dobrobytu, a także za ogłoszeniem amnestii dla nielegalnych imigrantów.

Liberałowie pięć lat temu obiecywali, że za wszelką cenę chcą powstrzymać neothatcherowską nawałnicę. Zawarcie koalicji z Partią Konserwatywną było politycznym resetem. Tą decyzją Clegg przekreślił i zakwestionował dokonania i program LibDem. A wszystko po to, żeby zreformować niedemokratyczny system wyborczy Wielkiej Brytanii. Cameron na referendum zgodził się gładko, bo w Wielkiej Brytanii nawet polityczne przedszkolaki wiedzą, że reforma wyborcza to mrzonka. W referendum zorganizowanym w 2012 r., co było do przewidzenia, Cleggowa propozycja AV (alternative vote) została zmasakrowana. Prawie

68 proc. głosujących powiedziało „nie”. Zaś liberałowie w odbywających się w tym samym czasie wyborach samorządowych ponieśli totalną klęskę. I do tej pory nie są w stanie ani odbić się od politycznego dna, ani znaleźć dla siebie nowej politycznej formy. Liberałowie stali się typową koalicyjną przystawką, pożartą, przemieloną i wyplutą przez silniejszego partnera. Dziś mogą liczyć na 9 proc. poparcia i 29 mandatów.

Rolę „prawdziwej lewicy” odgrywają teraz Zieloni, którzy depczą liberałom po piętach, a w niektórych sondażach ich nawet prześcigają. Niekonwencjonalne podejście do polityki, pęknięcie w głównym nurcie, niechęć mocno lewicowych wyborców do Partii Pracy powodują, że Green Party przybywa członków i sympatyków. Natalie Bennett, liderka Zielonych, mimo kilku wpadek na początku kampanii i wyraźnego nieokrzesania medialnego wyrasta na czołową i znaczącą polityczkę na Wyspach, dobijając się do mainstreamu. I mimo że w tych wyborach nie ma szans, aby Zieloni powtórzyli swój sukces z 1989 r. (w swoim poprzednim wcieleniu), gdy zdobyli 2 mln głosów w wyborach do Parlamentu Europejskiego, to jednak uświadamiają, że czas konwencjonalnych odpowiedzi na wyzwania polityczne minął.

Radykalizm Zielonych może mieć podobny skutek dla lewicy co działania Farage’a na prawicy, czyli znacząco wpłynąć na retorykę, wizję i program partii w mainstreamie. Nacisk UKIP na torysów zmusza Camerona do wzmocnienia swojego skrajnego prawego skrzydła. Wzrost znaczenia Zielonych (od 5 do 11 proc. według różnych sondaży) zwiększa presję z lewej strony na Eda Milibanda.

SZKOCI W LONDYNIE

Prawdziwymi zwycięzcami wyborów mogą się jednak okazać szkoccy narodowcy. Nicola Sturgeon, która zastąpiła Alexa Salmonda na czele SNP (Scottish National Party), szykuje się do współrządzenia Wielką Brytanią. Stąd wściekłe ataki na szkocką partię ze strony konserwatystów. John Major, były premier,

nazwał niedawno liderkę SNP „najbardziej niebezpieczną kobietą w kraju”, która będzie szantażowała Partię Pracy. „The Sun” krzyczy o radykalnym lewactwie. „Times” przestrzega przed wzrostem znaczenia narodowych egoizmów. Jednak trend jest jednoznaczny. Przegrane referendum w kwestii szkockiej niepodległości ożywiło na Północy ducha demokracji, a niechęć do separacji zarówno Labour, jak i torysów spowodowała, że SNP stało się najważniejszą partią w Szkocji. I może liczyć na 55 mandatów w Izbie Gmin. Do tego jeszcze Sturgeon jest dziś najpopularniejszą liderką partyjną na Wyspach. Cieszy się znacznie większym społecznym zaufaniem niż Cameron i Miliband.

Centrolewicowa partia znajdująca się trochę bardziej na lewo od Labour ma szansę zakwestionować paradygmaty ekonomiczne w Wielkiej Brytanii. Nadzieja na zmianę, która napędza SNP, ma podłoże egalitarne. Sprzeciw wobec cięć, niechęć do neoliberalizmu, polityka gospodarcza w stylu skandynawskim, sprzeciw wobec interwencji militarnych są kluczowe dla szkockich narodowców i powodują, że przy ewentualnej wygranej Labour i SNP czeka nas lewicowa rewolucja. Pomimo pozornego status quo zmiana wisi w powietrzu.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk